

Premiera «Boccaccia»

Premiera opery „Boccaccio”, ubiegłowiecznego kompozytora austriackiego Franza von Suppe, jest kolejnym dowodem, że obecnej dyrekcji naszego Teatru Wielkiego nie zależy na odkrywczym wprowadzaniu do repertuaru utworów współczesnej muzyki, czy też arcydzieł tej dziedziny sztuki, wymagających od widza intelektualnego wysiłku i uczuciowego skupienia. Chodzi tu o popularny teatr widowiskowy, w którym muzyka pełni rolę dla ucha funkcję ilustracyjną wobec fabuły, a orkiestra ogranicza się do roli akompaniatora solistów i chóru. Czasami zaś bywa równieź tłem popisów tanecznych...

Trzeba przyznać, że dla realizacji takiego celu przywołano ku pomocy najlepszych specjalistów — myślę o reżyserze Danucie Baduszkowej i scenografie Stanisława Bąkowskim. Oprawa plastyczna „Boccaccia” jest wspaniała i pod względem kolorystycznym i w sensie utrafilenia w nastrój epoki. Co za piękne kostiumy, malarska wręcz zabudowa sceny, no i kapitalne operowanie światłem!

Wszystkie te zalety plastyczne widowiska zyskują jeszcze dzięki dynamice akcji — Danuta Baduszkowa nie ma sobie równych w umiejętności przełamywania operowych, statycznych manier gry i w budowaniu efektownych scen zbiorowych, pełnych ruchu, harmonii i dramatycznej logiki!

Za jej sprawą i tekst libretta — spolszczyła go wraz z Krystyną Chudowolską — stał się absolutnie poprawny, pozbawiony językowej nieporadności, wzbogacił się o współczesny nam dowcip. Tak dalece, że publiczność niekiedy oklaskuje sam dialog. Tej samoistnej wartości brak tym razem nie tekstowi, a muzyce. Nie myślę już o jej wtórności. Nawet nie o tym, że mile się jej słucha, lecz w pamięci nie pozostaje żaden motyw.

Partytura „Boccaccia” po prostu nie dostarcza dyrygentowi materiału dla jakiejś bogatszej muzycznie interpretacji utworu. Naturalnie, nie znaczy to, że całą uverturę należy grać z taką monotonną hataśliwością, jak to słyszeliśmy na premierze! Dyrygent Jan Kulaszewicz nie powinien też pozwolić orkiestrze, aby głośzysła śpiew w scenach zbiorowych, zwłaszcza, że chór i tak brzmi w tym spektaklu dziwnie zamazany. Dyskretne towarzysze nie solistom — to zbyt małe wymagania, jak na ten zespół muzyków. Zresztą i niektórzy soliści mogliby bardziej zważać na tempa, które dyktuje pałeczka dyry-

gents... Proszę się też nie dziwić, że pomijam milczeniem balet...

Mocną stroną przedstawienia jest staranna obsada ról — od głównych aż do epizodycznych gdzie śpiewają tak doświadczeni artyści, jak Henryk Łukaszek, Marian Kondella, czy Piotr Liszkowski. Tytułową partię odtwarzał z fradiawoliczną swadą aktor ską i wokalną Sławomir Zerdzicki, mając za przyjaciela lirycznego Aleksandra Burandta. Wspaniale zaśpiewała pierwszą swoją rolę Beatrice — Zofia Baranowicz, stanowiąc potem podstawę zabawnego tercetu zawistnych sąsiadek, składającego się jeszcze z Weroniki Pełczar i Jadwigi Myszkowskiej.

Właśnie w Jadwidze Myszkowskiej dojrzał Jan Czekay wymarzoną Izabelle, wykorzystując w zalotach jako księżę Palermo swoje nieprzeciętne walory głosowe. My zaś bierzemy stroną gustów Boccaccia i zachwyceni jesteśmy Flametta, której urzekającemu sopranowi, jakim ją obdarza Krystyna Pakulska, trudno się oprzeć! Podobnie, jak śmiechowi, gdy na scenie pojawia się przekomiczna trójka florenckich mieszczan: Józef Katin, Edward Kmiciewicz i Bogdan Ratajczak. Znakowitych pod każdym względem! Oni właśnie najlepiej pojęli, o co chodziło Danucie Baduszkowej, o jaki styl gry, aby tę pozycję repertuarową uczynić współczesną — nie umniejszając zalet „Boccaccia” jako popularnego widowiska rozrywkowego.

RYSZARD DANECKI